

Księga Tatr

JALU KUREK

Jalu Kurek

KSIĘGA TATR

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-28-3

Copyright (C) Ewa Kurek i Grzegorz Kurek

Projekt okładki: Ewa Hajduk

Foto na okładce: widok na Kościelec nad Czarnym Stawem Gąsienicowym (pauart.pl)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Od autora](#)

Rozdział 1

Przed samym zmierzchem pojawił się od strony Czerwonych Wierchów rudawy obłoczek, który przewiał szybko i rozstrzępił się bez śladu na Giewoncie. Za nim wypełzła na niebo od Doliny Kościeliskiej brzydka chmura, jedna, druga, trzecia, szybko przelatowały na wschód. Powietrzem szedł jakby zaduch, kładł się na wsi ciepłym tchnieniem, zwiastując wiatr od gór. Wkrótce chmurzyska zasłały doszczętnie niebo w południowo-zachodnim kącie krajobrazu. Dał się słyszeć jakby odległy, wszechogarniający szum potoku, suchy szelest wdrażający się w uszy. Wzmogło się ciepło, niezwykle jak na kwiecień, który stanowi dopiero przedwiośnie w górach.

Nadchodził wiatr halny.

U Macieja Raja w roli Chycowej pierwszy podmuch ruszył drzwiami. Deski stęknęły lekko, jak gdyby westchnął człowiek. Zatrzeszczało w krokwiach dachowych.

– Oho! Stryk zza wirchu idzie – rzekła gaździna. Tak oznajmiali od lat górale nadejście dobrego znajomego z głębi gór.

Mieszkańcy wsi Zakopane znali dobrze ten wiatr życiodajny i niszczący. Zżyli się z nim, nawiedzał ich o każdej porze roku, bił bez opamiętania. Bez niego góry nie byłyby górami. Czuli jego nadejście na parę dni przedtem.

I ten dzisiejszy przepowiadali już wcześniej. Zachód słońca wytaczał ostatnio krwawy pobłysk na chmury i na ośnieżone wierchy, cisza w powietrzu panowała zdradliwa; gdy wciągnąć dech nosem, niosła się jakaś ciepłość i suchość. To niezwykle we wsi, w której przez trzy kwartały w roku leje deszcz albo pada śnieg.

Od środka wsi, spod świeżo zbudowanego kościółka, szedł drogą Pitoń Okrasek waląc w prymitywny bęben i nawołując na wszystkie strony:

– Ogień gasić! Ogień gasić!

Znali to wezwanie. Należy ogień zasypać popiołem – broń Boże zalać wodą, bo to grzech – i przez parę dni, o ile się nie uspokoi, spożywać zimną strawę.

Słońce zachodziło nad Osobitą niewidoczne. Chmury tratowały się nawzajem, jeden wał wstępował w drugi, zgniatał go, przeskakiwał, obłoki szybowały, cwałowały, kłębiły się nad wsią.

Wicher nadleciał. Zaczęły w reglach trzaskać drzewa. Całe Zakopane było poprzerastane lasem. Gwizd na poły z szumem przeszywał powietrze. Halny ogarnął polany, drogi, zabudowania; dopiero teraz zacznie się taniec. O jakiś dach prasnęły wyłamane deski, furgnęły w górę gałęzie i słoma, wzbił się kurz, świat się zmierzwił. Czyżby się wzmógł huk potoków? Gdzieś rozerwało szopę.

Pitoń, skurczony, biczowany wiatrem z tyłu, szedł drogą ku Olczy, bijąc na alarm. Darł się wniebogłosy, choć nie mógł przekrzyczeć wiatru:

– Ogień gasić! Ogień gasić!

Nadchodzi wieczór. Na drózkach, na ścieżkach, koło zagród nie widać ludzi. Kto mieszka właściwie w tym Zakopanem?

Trwoga padła na ludność. Baby siedzą stroskane w ciemności, chłopci nie rozbierają się, leżą na nalepie, która już wystygła. Co to jest nalepa? Pokład kamienny przy piecu, powleczone warstwą zeschniętego błota, na którym zazwyczaj śpią i wygrzewają się starzy. Nie będzie ognia dzisiaj, nie będzie światła, nie będzie ciepła, nie będzie gorącego jadła. Iskra mogłaby zatlić się w słomie, w sianie, język płomyczka mógłby liznąć wysuszone drewno dachu, spłonąłby dom. Nie znają tu kominów, chałupy są kurne.

Krowy, konie, owce niespokojnie tłoczą się w szopie, dreptają nogami. I im udziela się niepokój przyrody, czują przez ścianę wściekłość żywiołu. Z domu Marduły wychodzi Weruna, najstarsza córka rodu, niska, drobna, w serdaku. W mroku podchodzi do zachodniego węgła domu, ostrożnie, podejrzliwie patrzy na wszystkie strony, czy jej kto nie

podgląda, i sypie na wypust węgla garść mąki, aby przebłagać wiatr halny. Taki był odwieczny zabobon tych stron.

– Wiatr weźmie mąkę i ś niej się ułoży.

Czyli, że się uspokoi. Ale wiatr był nieczuły na prośby Mardulanki, nie przestawał szaleć ani na chwilę. Może mąka była nieczysta? Albo czyjeś ludzkie złe oko z ukradka, z ciemności odczytno siłę uroku?

Wiązania w dachu odpowiadały. Dom był zbudowany, jak wszystkie domy zakopiańskie, mocno a zdrowo, z tęgich smrekowych płązów (czyli grubych pni przepołowionych wzdłuż rdzenia), z wysoką strzechą, z wysokim szczytem, bo tu drzewa świętego do budowy w bród. Dach nakryty był gontami szerniałymi, przesyconymi dymem; w roku ubiegłym gospodarz poodrywał je i przewrócił stroną okopconą do pola, aby w ten sposób zakonserwowane przeleżały drugie trzydzieści lat, wytrzymując nawałnice i burze. Kiedy żerdzie w dachu trzeszcza od wichru, że zda się, jakoby dom się ugiął czy kołysał, to znaczy, że jest dobrze zbudowany.

Dlaczego?

– Bo chodzi.

Jak wóz na elastycznych, sprężynowych resorach. Nic dziwnego, że w tych warunkach żywot smrekowego domu zakopiańskiego oblicza się na sto pięćdziesiąt lat.

Bębniarz – ten sam czy inny? – siedł teraz ku Kościelisku, w samo czoło bijącego wiatru, robiąc po wsi trwogę.

– Ogień gasić! Ogień gasić!

Takie było rozporządzenie gromady, gdy duchnął halny wiatr. Ale Rajowie nie robili sobie nic z rozporządzenia. Znali mądrą zasadę życiową, że rozum i praktyka ważniejsze niż sucha litera nakazu. Ogień słucha człowieka, trzeba się tylko umieć z nim obchodzić. Pożary należą we wsi do rzadkości, a przecież nie uświadczysz tu nigdzie nowego wynalazku: komina, Rajowa umie niecić mały ogień, żeby nie dudniało, żeby nie ciągnęło, żeby iskry nie wylatywały do sieni ani na poddasze.

Staszeczek także nie uznaje rozporządzenia, nie stosuje się do alarmu Pitonia. Gaździna złożyła nikły ogieniek, aby zagotować ziemniaki. Piec był niski, lecz długi i szeroki, mogło na nim lec ze czterech ludzi. Gospodarz sypiał na nim z przyjemnością, podślawszy pod siebie cuchę. Ciemności zaległy czarną izbę, rozszedł się gryzący dym, nie szkodził tutejszym ludziom, przyzwyczajeni byli doń od dzieciństwa. Troje osób w mroku wyglądało niesamowicie, jak duchy, na tle płonących szczap.

Wiatr halny nie śmie nic zrobić Staszeczkowi, bo mają u siebie na mieszkaniu poświęconą osobę. Proboszcza nowo założonej w tym roku zakopiańskiej parafii. Księżdz Stolarczyka.

W izbie białej, gdzie mieszka proboszcz, świeci się nikły płomyk kaganka; żelazna okrągła rynienka, do jej dna przylepiony owsianym ciastem knot z poskręcanej nici lnianej, pływający w baranym łoju (przetopionym, aby nie skwierczał). Światelko z tego drgające i słabe. Przy stole siedzi ogromny człowiek; góra ciała. Czyta nabożną książkę, modli się. Od czasu do czasu odrywa wzrok od drukowanych kartek, kieruje go w stronę okna i nadśluchuje porywów wiatru.

Izba była dwuokienna, z rzędu porządniejszych we wsi. Podłoga biała, z desek jodłowych. Pod powałą biegł gruby sosrąb z ryzowaną gwiazdą. Ściany z okrągłaków przypasowanych szczelnie do siebie, o kolorze złotawego wosku. Na ścianie szczytowej przybita listwa, za którą stało rzędem kilkanaście obrazów świętych. Twarze świętych pyzate, białe z czerwonym kółkiem rumieńców, niebieskie oczy wytrzeszczone w górę w ekstazie. Obrazy te, odbijane w okropnych kolorach w Koszycach czy Morawskiej Ostrawie, sprzedają setkami wędrowni kramarze po odpustach i jarmarkach. Na środku izby – wielki, ciężki stół jaworowy. Nad łóżkiem, czysto zaścielonym pierzynami, wbity wysoko w ścianę zegar,

chluba tego domu, rzadkość w Zakopanem; własność proboszcza. Zegar, z żelaznymi wagami na łańcuszkach do nakręcania, bije nie tylko godziny, lecz i kwadransy. Z okolicy chodzą do Staszeczka pytać o dokładny czas, choć właściwie nikomu na nic ta dokładność niepotrzebna. Przed stu laty nie było zegarów, a każdy się wyznawał dobrze na porze dnia i nocy podług przyrody. Ale wynalazki są mądrością świata, trzeba iść naprzód z postępem. W południe o dwunastej każe proboszcz dzwonić Ślimakowi na *Anioł Pański*, również i o szóstej rano oraz o szóstej wieczorem. I tak według plebańskiego godzinnika regulują zakopianie zajęcia całego dnia.

Drzwi się otwarły, wszedł gospodarz w kapeluszu, w czarnym baranim serdaku, z nie wyprawioną skórą na wierzchu. Twarz przyjemna, poczciwa, długie, jasne wąsy, portki sukienne białe, z surowej wełny owczej, na każdej nogawicy u kostki rozporek, naokoło niego osiem siwych sznurków do kupy.

– Widzi się, że duchnie mocno tyj nocy, Jegomoś. Trzeba wam opatrzeć okna, coby ik nie potargało.

Podszedł ku oknu, majstrując koło szyby, która nie była osadzona w ramie, lecz starym zwyczajem wpuszczona na stałe w futrynę.

– Słusznie przepowiedzieliście wczoraj halny, Szymonie. Byliście w Hamrach? Co słychać?

– Górami idzie ciągle masa nasyk do Węgier. Na rewolucję. Same młode chłopaki.

– Oj, to niedobrze!

– Mówiom, że jakosi bitka w górach była. Madziary Miemców potłukły.

– Jeszcze tego brakowało, żeby u nas wojna była!

– Boże nie dej! Podobno wojsko polskie masiuruje z Francycji do nos.

– E, baśnie opowiadacie, Szymonie! A tu inni znowu plotą, że Moskale idą przeciwko Węgrom na pomoc cesarzowi Ferdynandowi, aby ugasić rebelię.

Staszeczek nie wiedział nic o cesarzu Ferdynandzie, bo i skąd, więc ucichł. Skąd miałby wiedzieć o Ferdynandzie, skoro władza zaborcza wiedeńskiego monarchy kończyła się na urzędzie w Nowym Targu. A dalej na południe? Dzicz, pustka, góry.

– Wiosna Ludów, powiadają – kontynuuje wobec tego swoje wywody proboszcz. – Ładna mi wiosna! We krwi znowu świat chcą utopić. I na nas znowu nieszczęścia się zwałą.

– E, Jegomoś, do nos cheba wojna nie przyńdzie, bo skąd, bo jak? Drógi ni ma.

– A jak było w czterdziestym szóstym? Brat brata ma pod nosem, wszędzie go znajdzie. Brat wtedy zabijał brata, Polak Polaka mordował, pamiętacie?

– Pamiyntom, jakżeby nie? Chłopy na panów się porwały – sprostował rzeczowo góral.

– A tu, w Chochołowie, cośmy mieli pod nosem, nie wojnę w czterdziestym szóstym?

Wojna nie potrzebuje drogi. Wojna idzie przez lasy, przez góry, nie ma dla niej żadnej zapory. Wojna się rodzi tu, w sercu bezbożnym – pokazał na pierś swą, wyдутą jak beczka. – Boże uchowaj, przeżywać wojnę!

– Boże nos broń! – zgodził się Staszeczek.

Mała Jewka otwarła drzwi, weszła przez nie gaździna, niosąc w jednej ręce miskę z ziemniakami, w drugiej – garnek z mlekiem. Ksiądz odkłada książkę.

– No, Szymonowa, co mamy dziś na wieczerzę?

Położyła na stole jedzenie, ręką zaczęła miąć niezdarnie świeżą zapaskę. – Przepytujem piyknie, Jegomoś, grule.

Ksiądz Stolarczyk uśmiechnął się szeroko, rozłożył ręce – mógłby w tym uścisku zmieścić chyba sąg drzewa – i przysunął ku sobie miskę z ziemniakami.

– Dajcie, *in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen* – przeżegnał misę – jo górol, zwyczajny chłopskiego jedzenia. Se mnie zdrowy chłop, aj chłop.

– Oj wiera!

Patrzyli na niego z uszanowaniem. Bardzo im się to podobało, że aczkolwiek w świecie bywały, z panami poprzestający, z miasta Tarnowa przybyły, w szkołach kształcony, przecież się do nich zniża i ich językiem wysławia. Gdy w styczniu bieżącego roku zamieszkał u nich po poświęceniu kościoła, powiedział im od razu, że pochodzi z rodziców chłopskich, urodził się we wsi Wysoka pod Jordanowem.

– Jo chłop z Wysokiej i wy chłopy z wysokiego kraju, a wse my bracia w Chrystusie Panu.

Nie z wyspotów tak mówi, z lekkomyślności czy z wydróżniania. Ujął ich z miejsca prostotą obejścia. Pragnie się zbliżyć do parafian, obalić dystans między panem a chłopem. Ich gwara jest codzienną mową jego rodziców, językiem jego dzieciństwa.

Z szacunkiem wycofali się z izby, aby go nie krępować przy jedzeniu swoją obecnością. Byli hrubymi gazdami i za honor sobie mieli księdza gościć w swym domu. Już i Samek Gąsienica przymawiał się, że izbę odstąpiłby Jegomościowi, ale że mieszka daleko na Ustupie, nie dostał księdza na mieszkanie. Proboszcz musi przy swoim kościele mieszkać, jak baca w szałasie obok koszar z owcami.

Lokator Staszeczków zjadł ze smakiem wieczerzę. Nie było w czym po prawdzie wybierać. Wieś była uboga, górską, płona. Jeżeli w niej nie obrodzi latem owies, jesienią karpiele i ziemniaki, zimą panuje nędza, a na wiosnę przychodzi głód. Tak było właśnie w owym twardym, złym roku 1848; ziemniaki chybiły. I teraz w kwietniu podane na kolację mogły być uważane za zbyt kowną potrawę. Podstawowym jedzeniem górala jest owies, gdzie indziej powszechna strawa koni. Z owsa robi się placek, kluskę, zacierkę, bryję i żur.

Zamyślił się. Najważniejsze, żeby zapuścić korzenie, wrosnąć w glebę, żeby ten lud dziki obłaskawić. Kościół już jest, co prawda maleńki, ale wystarczający na znikome potrzeby zakopian. Teraz jeszcze tylko zbudować plebanię koło domu bożego! Przez trzy miesiące pracuje ksiądz Stolarczyk nad wznoszeniem plebanii – jako drwal, jako furman, jako cieśla, z trudem wywalczając sobie posłuch i szacunek u ludu. Cóż z tego, że Homolacz, właściciel Zakopanego, ofiarował duszpasterzowi za darmo drzewo na budowę plebanii? Ale drzewo rośnie w Dolinie Małej Łąki. Jak namówić górali, aby mu je ścięli i zwieźli z lasu pod kościół? Jeśli się nie ma pieniędzy? A górale są chytry na pieniądze. Do Małej Łąki nie było dojazdu. Chłopi, przyzwyczajeni do lekkich jednokonek, nie mieli wozów kutych, wytrzymałych na większe ciężary. Jegomość szedł codziennie z woźnicą do Małej Łąki, towarzyszył każdemu kłocowi, ładował tramy na gnatki, a był z niego nie lada osiłek. Na dziurach wydobywał cały wóz z drzewem, nadnosił ciężar na zakrętach, popychał wóz pod górę, hamował ku dołowi, trzymając koło za szprychy.

Wiatr nie uspokoił się ani na chwilę. Ksiądz Stolarczyk wstał od stołu, popatrzył na zegar. Dochodziła dziewiąta. Weszła cichutko bosa, ośmioletnia Jewka, zabrała ze stołu miskę, garnek i łyżkę, ucałowała kapłańską rękę, opuściła izbę. Stolarczyk wyszedł na dwór. Noc była ciemna, skłębiona od wiatru, aż gęsta od ciepłego oddechu powietrza. Nad ośnieżonymi szczytami leżały grube chmury. U samego zenitu wisiał księżyc półpełny. Całe Zakopane spało utopione w mroku. Nie odezwało się ani jedno światełko, nie zabłysnął ani jeden odblask ognia. Wieś, pogrążona na dnie ciemności, wstrząsana była co chwilę atakami wichru, jak starzec zmęczony kaszlem. Jedyne u ujścia Doliny Bystrej unosił się na niebie pobłysk łuny od wielkiego pieca w Hamrach. Od pasa leśnych regli, zalegających podnóża gór, dochodził zdławiony szum, huk, trzask, łoskot: szaleństwo halnego.

Proboszcz powrócił do izby. Po paru dniach halnego wiatru uspokoi się wszystko, znikną resztki śniegu, zazielenią się trawy, nadejdzie czas orki. Wtedy już nie uprosi żadnego gazdy o konia ani o chwilę ciesiołki przy płazach przyszłej budowy.

Otworzył zeszyt, gruby, w czarnej oprawie. Nie miał czasu jeszcze do niego zaglądnąć; przeznaczył go na kronikę swojej parafii. Od trzech miesięcy nie zapisał w nim nic. A czas

leci. Nachylił się nad zeszytem, przeżegnał się, takim samym znakiem krzyża otworzył pierwszą stronę pamiętnika i pisał:

Czytelnikom pozdrowienie w Panu!

Pod górami karpackimi położona jest wieś zwana Zakopane, której mieszkańcy należeli od początku części do parafii Czarny Dunajec, części do kościoła szaflarskiego, który był filią nowotarskiego; po jakimś czasie część należąca do Czarnego Dunajca wcielona została do parafii ustanowionej w Chochołowie, część zaś druga wcielona została do parafii ustanowionej w Poroninie; zawsze przecie z powodu wielkiej odległości odczuwano potrzebę własnego kościoła. Dlatego też tak się stało, że pewien mieszkaniec, Paweł Gąsienica, powziął postanowienie, aby na roli Osiedle wystawić przynajmniej kaplicę, w której by od czasu do czasu mogła być odprawiona ofiara mszy świętej i gdzie by można udzielać ludowi nauk religijnych.

Gdy przez licytację tych dóbr stał się ich właścicielem Wielmożny Pan Emanuel Homolacz, całą swą troskę skierował ku urzędzeniu parafii, jednak gdy on zmarł wcześniej, małżonka jego, Wielmożna Pani Klementyna Homolacz de Sławiński, stawszy się dziedziczką tych dóbr, ze swoim drugim małżonkiem, Edwardem Homolaczem, udotowawszy probostwo, w dniu 10 sierpnia wreszcie urzeczywistnili ten projekt, lecz z powodu różnych okoliczności dopiero w roku 1842 przedłożyli do załatwienia Najdostojniejszemu Majestatowi. Najjaśniejszy Pan, przez uzupełnienie kongruy dla proboszcza, projekt ten zaaprobował w dniu 12 sierpnia 1845 roku pod numerem 24 218.

W następstwie tego mieszkańcy Zakopanego i Kościeliska wraz z Dominium Zakopane pobudowali kościół, a kolatorka tego beneficjum i kościoła, Wielmożna Pani Klementyna Homolacz, sprawiła potrzebne przybory.

Pierwszy proboszcz, Józef Stolarczyk, urodzony w roku 1816, wyświęcony na kapłana w roku 1842, instytuowany kanonicznie 29 listopada 1847, a instalowany 6 stycznia 1848 roku, prowadzi zarząd parafii.

Kościół ten jest drewniany; zbudowany w roku 1847 i przyozdobiony jednym ołtarzem i czterema chorągwiemi. Cieśla, człowiek leciwy, nazywał się Sebastian Gąsienica, inaczej Sobczyk.

Ukończył pisanie i zamyślił się. Czy dobrze ujął początkowe dzieje swojego pobytu w Zakopanem i historię powstania kościoła? Czegóż dokonał tu w ciągu trzech miesięcy? Kościół – była to właściwie kaplica z modrzewiowego drzewa, w niej jeden ołtarz, pod tylną ścianą stało skromne używane harmonium, sprowadzone z Nowego Targu. Zamiast dzwonu – sygnaturka. Pleban znalazł się bez plebanii, bez inwentarza, w cudzym domu mieszkając, otoczony dokoła ludem na poły dzikim i chciwym. Zbiegali się ku niemu, aby coś zyskać; nie z nauki, lecz z pieniędzy, a on był bez grajcara. Za funkcje nie płacili z początku nic proboszczowi, na przykład za pogrzeby. Mieli we wsi kobietę, która im stale trupy do kościoła w Chochołowie odwoziła, gdzie grzebano je na miejscowym cmentarzu; toteż poprzestawali na pokropieniu zwłok. Dla oddalenia raz lub dwa razy na rok zaglądali do kościoła w Chochołowie czy Poroninie. Przy wielkiej biedzie i prawie o suchym chlebie zabrał się Stolarczyk do pracy. W pierwszych tygodniach lud do niczego – z chęcią, za darmo – przyłożyć się nie chciał. Kapłan ujmował ich niespotykaną żarliwością i zapalem. Ciężko, opornie zaczęli się przekonywać do niego. Będzie lepiej!

Proboszcz wstał, jego olbrzymia postać zachybotła płomykiem kaganka. Stojąc, zwrócony w kierunku małego krucyfiksu, wbitego w ścianę nad łóżkiem, zmówił z książki łacińską modlitwę, po czym, dmuchnąwszy, zgasił światelko i począł się rozbierać.

Wiatr nie znużony huczał nad wsią bez wytchnienia.

Nazajutrz – była niedziela – ośnieżone góry ukazały się w blasku dnia pociemniałe, jak gdyby chudsze. Z regli skakały potoki, na upłazach zazieleniła się trawa, jak wyczyszczona,

wymyta w kolorze. Jeszcze przed paru dniami w jarach, w brzdach, pod lasem, nad strumieniami zalegał śnieg w płatach oklapniętych, szerniałych, dziurkowatych, nasiąkłych wodą. Dzisiaj resztki śniegu zlizane, trawki puściły się po stokach. Wiatr halny dął z przerwami; co parę minut następował poryw wichury. Czego słońce nie zrobi przez parę tygodni grzania, oddech gorący halnego dokona w ciągu jednej nocy. Bydło w szopach cni się; tęsknią do pola, wiatr nawiał im ciepła do nozdrzy, krowy porykują, wietrząc świeżą ruń z murawy. Zboczami, żlebami, wąwozami, drogami, ścieżkami lecą wody wiosenne, potoki puchną rwąc brzegi.

Więc już skończyła się zima. Trwała długo i była sroga. Twardy był rok poprzedni, 1847, jak prawie wszystkie ostatnie lata. Przyszła wczesna zima. Gruby pokład śniegu przywalił nie wykopane ziemniaki i brukiew, nazywaną tu powszechnie karpielami. Gdy owies prawie był dojrzały (a dojrzewa późno), nadleciał wiatr halny, wymłócił ziarno, zrobił koniec zakopiańskiemu jedzeniu.

Drogami z Ustupu, z Chramcówek, z Bystrego, ze Starej Polany przechodzi kilkudziesięciu ludzi białych, wycieńczonych brakiem powietrza i stawy. Uwędził ich dym czarnej izby, przyzieleniła duszność, osłabiło marne jedzenie na przednówku. Nie zanoszą się na lepsze w przyszłości. Drogą idą powoli, statecznie, odświętnie Króle, Tatarzy, Ustupscy, Oberconie, Sieczki, Chramce, Chyce, Gąsienice, Ślimaki, Jarzabki, Wale, Jafury, Galice. Od Kościelisk ciągną Bachledy, Topory, Marduły, Kowale, Walczaki. Tylko Olcza boczy się na proboszcza i na nowy kościół; oni by woleli mieć u siebie kościół. Nie honor im wędrować dwa kilometry do środka wsi, kiedy – dołożą jeszcze cztery i pójdą na Bańkówki. Czyli do Poronina.

– Momy chodzić tele dole we wsi do kościoła? Cy ino lo sobie pobudowali kościół Gąsienice? My się nie rachujemy, cy jak?

Głupia historia. Któż jest temu winien, że Zakopane rozwłóczyło się na przestrzeni blisko milowej? Mścił się tu dawny sposób zabudowy. Chłopi osiedlali się na rolach, czyli na pojedynczych całościach gospodarstw, obejmujących po kilkanaście zagród. Nieraz nawet nie wiedzą, do jakiej wsi należą, bo to dla nich nieważne; ważne, w jakiej roli gazdują. Ta niechęć długo miała trzymać olczan z dala od modrzewiowego kościółka pod Giewontem. Mimo to kilkoro z Olczy przełamało niedorzeczny bunt przysiółka. Idą rody Gronikowskich i Mrowców. Baby z dziećmi przedrobiły już drogę wcześniej, tylko chłopom do kościoła się nie śpieszy.

Popatrzcie na nich. Wzrost górali jest więcej niż średni, czasem wysoki, góralek zaś – drobny, mierny. Budowa ciała, zwłaszcza u mężczyzn – szczupła, zgrabna a mocna. Ruchy zręczne, żywe, ładne, chód nadzwyczaj lekki. Głowy uformowane pięknie, rysy twarzy wyrzeźbione ostro. Mężczyźni są przystojni prawie bez wyjątku, kobiety nie dzielą z nimi na ogół tej urody. Cechują górali twarze podłużne, oczy czarne, włosy ciemne, natura bujna, rozum bystry. Cery mają gładkie, aż dziw, że się takie uchowały wśród tylu przeciwieństw klimatu; dotyczy to szczególnie kobiet, które mają twarze nieskazitelnie białe i delikatne. Mężczyźni golą brodę, zostawiając bujną wiechę wąsów. Włosy noszą długie, spadające na kark, jeszcze niekiedy splecione w parę warkoczyków, choć młodzi ukradkiem podśmiewają się z tego.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI